

Cześć,

Mam na imię Basia, studiuje Wzornictwo na IV roku, za to cały III rok spędziłam we Włoszech ucząc się w Politecnico di Torino w ramach Programu Erasmus. Skąd taki pomysł? Usłyszałam historie i przygody znajomych, którzy byli na takich wyjazdach, pomyślałam: „czemu nie?”. Teraz opowiem Wam moją historię.

**Program Erasmus to przede wszystkim ludzie**, tacy jak my. To nic, że nie mówimy takim samym językiem, że mamy inne zwyczaje, kulturę czy jedzenie. Nie ma barier, nie ma przeszkód, by razem się uczyć, mieszkać i bawić się. W końcu chodzi o to, by mieć niezapomniane przeżycia, by otworzyć się na świat i czerpać z niego garściami. Nie da się tego nauczyć inaczej niż w praktyce. Więc rzuciłam się na głęboką wodę. Nowy kraj i ludzie, nie byłam pewna, czy dam radę to wszystko ogarnąć. Nie powiem, że się nie bałam przed wyjazdem, ale bałam się i to jeszcze jak! Ale byłam też podekscytowana, chciałam się sprawdzić, zobaczyć czy dam radę, otworzyć się. Studenci z innych krajów nie byli wcale inni niż ja, każdy szukał nowych znajomości, był otwarty i serdeczny. Na początku pojechałam do Sieny (dla fanów Jamesa Bonda, to tam, gdzie były kręcone pierwsze sceny Quantum of Solace). Piękne miasto! Byłam tam na **kursie językowym EILC**, w końcu pojechałam do Włoch, a po włosku potrafiłam powiedzieć tylko „buongiorno”. Był to bardzo intensywny kurs i bardzo wiele się nauczyłam. Nie ja jedna nie miałam podstaw włoskiego, ale mój program studiów miał być po angielsku, a byli też tacy w mojej grupie, którzy mieli zamiar studiować po włosku. Z tego co wiem udało im się, zaliczyli semestr czy rok i z bardzo dobrą znajomością języka włoskiego wrócili szczęśliwi do domów. Było tam ok. 120 studentów z całej Europy i wszyscy wieczorami chodziliśmy na Piazza del Campo by zakończyć kolejny słoneczny dzień z kawałkiem pizzy i winem w ręku. Nie obeszło się też bez wycieczek po okolicy, do zabytkowych miast, parków narodowych i nad morze.

Po kursie, z dyplomem w ręku pojechałam do Bielli, kampusu Politechniki Turyńskiej, gdzie miałam studiować, po drodze zahaczając o Florencję. Biella okazała się małym miasteczkiem w górach, znanym jako włoskie zagłębienie przemysłu tekstylnego. Kampus nowy, niewielki, ukierunkowany na studentów zagranicznych w normalnym toku studiów. Jak w Sienie poznałam mnóstwo ludzi z całej Europy tak tu, głównie z Azji. Pakistan, Chiny, Armenia, Bangladesz, Ghana, Indie, Filipiny i inne, ludzie z tych krajów, tak dla nas dalekich, okazali się otwarci i niezwykle interesujący. Razem się uczyliśmy, **jeździliśmy na wycieczki i imprezowaliśmy**.

**Co do uczelni**, zajęcia miałam oczywiście inne niż u nas, jak to w życiu, niektóre lepsze, niektóre gorsze. Fajne były wycieczki do fabryk, gdzie mogliśmy zobaczyć całą produkcję od włókna do tkaniny, dzianiny czy włókniny. Robiłam projekt o komforcie koszulek sportowych i jako wolontariusz pociłam się w nich na rowerku stacjonarnym. Za to do tej pory nie wiem jak się robi programy komputerowe w Visual Basic for applications, ale jakoś się tym nie przejmuję.

Z początku wraz z koleżanką **mieszkałyśmy w akademiku**. Mały schludny pokój, dla dwóch osób, wszystko w jednym, kuchnia, sypialnia i pokój do pracy, na szczęście łazienka była oddzielna. Oczywiście były też salony i kuchnie wspólne, ale ja za nimi nie przepadałam. Z takich miejsc to korzystałam tylko z pralni i piwnicy gdzie robiliśmy imprezy. W drugim semestrze wynajęłyśmy mieszkanie, wtedy już było cudownie, całkiem inny komfort życia.

**Kuchnia** włoska jest tak dobra jak się o niej mówi, jeśli oczywiście się umie ją przyrządzić. Makaron i wino było tanie, reszta w porównaniu do polskich cen niekoniecznie. W Sienie korzystałam ze

stołówki, z kartą studencką miałam zniżkę, jedzenie było dobre i opłacało się. W Bielli wraz z współlokatorką gotowałyśmy same. Na pytanie: „Co dziś na obiad?” odpowiedź była prosta: „Dziś pasta, jutro makaron, a pojutrze dla odmiany kluski”.

**Stypendium!** Zapomniałabym. Nie myśleliście chyba, że za wszystko płaciłyśmy same? Oczywiście, że nie! Erasmusom przyznaje się stypendium w euro, kwota zależy od kraju do którego się jedzie. Przeważnie wystarcza ono na pokrycie opłat związanych z mieszkaniem, trochę trzeba dorzucić od siebie, ale jak się jest oszczędnym to daje się radę. Ja poradziłam sobie z tym tak, że przed wyjazdem pracowałam i zaoszczędziłam pewną sumę, a są tacy, którzy szukają sobie dorywczej pracy na wyjeździe, lub inni którym pomagają rodzice (ale w Polsce i tak by was karmili, więc co za różnica?).

Warto, bo żyjesz swoim życiem, a mamy je tylko jedno.

### **Co z tego mam?**

Międzynarodowych przyjaciół, niesamowite wspomnienia (w wydaniu ok. 20GB zdjęć), nowe doświadczenia i wiedzę, otwartość na świat i ludzi, certyfikat z języka, większą pewność siebie.

### **Czy warto?**

Gdybym mogła pojechać jeszcze raz, już bym pakowała walizki.